



5th Mózg Festival

INTERNATIONAL CONTEMPORARY MUSIC & VISUAL ARTS FESTIVAL

www.mozg.art.pl

jednodniówka festiwalowa - 29 listopada 2009

FORTE I PIANO

tekst: Mikołaj Zieliński, Joanna Pluta

zdjęcia: Krzysztof Pawłowski

SPLENDOR SCHAEFFEROWSKIEGO ABSURDU

Czwarty i ostatni dzień V Mózg Festivalu otworzył bodajże najciekawszy występ w całym programie imprezy. Mam tu na myśli Teatr Bogusława Schaeffera – sztukę zatytułowaną „Multimedialne Coś”. Tenże spektakl pełnił na festiwalu rolę celebracji 60-lecia pracy twórczej prof. Schaeffera i charakteryzował się formą surrealistycznego benefisu, w którym sam beneficjent pełni pozornie drugoplanową rolę. Sztuka rozpoczyna się powolnym fortepianowym wstępem Bogusława Schaeffera (którego dalej umownie będę nazywać Pianistą), scena znajduje się w półmroku, a na

ekranie z tyłu sceny pojawia się animacja ulatujących w górę „balonowych” głów. Pojawia się, wynurzając zza elementów scenografii, pierwszy aktor (Waldemar Obłóza – w dalszym tekście będę nazywać go Pierwszym). Po chwili zza sceny słychać głos drugiego aktora (Marek Frąckowiak – analogicznie będę nazywać go Drugim) pytającego Pierwszego o Pianistę, którego rzekomo jeszcze nie ma na scenie, na co Pierwszy wyprowadza go z błędu, akcentując, że to właśnie jego – Drugiego brakuje. Drugi wchodzi zatem na scenę i rozpoczyna dowcipny wykład o kulturze



i sztuce, nawiązując kontakt z widownią. Pierwszy jednak akcentuje znudzenie wywodami Drugiego i doprowadza go tym wreszcie do wściekłości i krzyku, po czym wychodzi za kulisy. Pianista z wolna rozpoczyna grę, ilustrując sekwencję trzech następujących po sobie scen, podobnych do siebie, jednakowoż za każdym razem inaczej granych przez dwóch aktorów i rozbudowywanych o dodatkowe partie tekstu. Następnie Pierwszy rozpoczyna szyderczy monolog o muzyce, stając się coraz bardziej wrzaskliwy, przerysowany i wulgarny (przerywa wciąż swoją wypowiedź zabawnym „splurwa kłać”), po czym w apogeum swojego zaaferowania i wygibasów pada na ziemię. Do przyglądającego mu się Drugiego, wstawszy zza fortepianu, dołącza Pianista, jednakże Drugi zauważywszy go – każe mu wracać na miejsce i grać. Teraz dla odmiany Drugi rozpoczyna monolog o nowej muzyce i pewnym kontinuum historii muzyki, a gdy z ust jego pada słowo „anatema”, jakaś kobieta siedząca z tyłu widowni (Agnieszka Wielgosz – dalej będę nazywać ją Kobieta z Widowni) zaczyna gwałtownie protestować i sprzeczać się z aktorami na temat tekstu wystawianego właśnie dramatu, twierdząc, że zna go lepiej. Gdy aktorom udaje się tymczasowo uciszyć wymądrzającą się, zaczyna ją się przekomarzać między sobą, mówić wierszem, używać archaicznych zwrotów i aktorskiego „I”. Następuje przerwa fortepianowo-projekcyjna, przez uspokajającą nastrojowość stojącą w opozycji do gwałtownych poczynań aktorskich. Kiedy kończy się fortepianowe interludium, aktorzy podejmują rozważania na temat kompozytora i przyjaźni między kompozytorami, na co zaczyna wtrącać się Kobieta z Widowni, objawiając większe od aktorów rozeznanie w temacie, co coraz bardziej ich rozjusza,



aż wreszcie rozwścieczony Pierwszy rzuca się za nią w pościg i następuje gonitwa na widowni. Pierwszemu nie udaje się złapać Kobiety i wraca na scenę załamany, rozpaczając. Gdy jednak Kobieta znowu objawia swoją obecność, Pierwszy podejmuje ponownie pogoń, wybiegając za nią na foyer, skąd słychać odgłosy walki zakończonej wniesieniem przez Pierwszego szamoczącą się Kobiety na scenę. Zdenerwowani aktorzy sadzają Kobieta na środku sceny i zblazowani tym, że odebrano im przywilej aktorstwa zapraszają cztery osoby (2 kobiety i 2 mężczyzn) na scenę i zachęcają do odtworzenia dwóch absurdalnych scenek miłosnych. Po zejściu widzów Kobieta zostaje zatrzymana na scenie, a aktorzy po kolei monologują, przy czym ten, który akurat nie mówi do publiczności, zaczyna romansować z siedzącą Kobieta. Wreszcie Pierwszy i Drugi podejmują na czworakach kłótnię o sztukę, warcząc na siebie jak dwa wściekłe psy, a Kobieta wyginając się i kokietując bezskutecznie próbuje zwrócić na siebie ich uwagę. Kłótnia przeradza się w bójkę, którą przerywa Kobieta. Rozkazuje aktorom zejść ze sceny, na której zostaje sama i ciągnie swój monolog zakończony ponurym zwiastowaniem zmierzchu kultury i sztuki. Po monologu żegna się z publicznością i wychodzi wyjściem dla widzów. Epilog wieńczący spektakl i spinający kłamrowo całość sztuki wykonuje na fortepianie ponownie sam prof. Bogusław Schaeffer z towarzyszeniem wizualizacji przedstawiającej rzeźbę kobiety z ptakiem, którą owiewa obłok płynący powoli wraz z grany utworem i rozwiewający wreszcie zupełnie kształt posągu. Moja relacja z tej znakomitej sztuki jest niekompletna, zważywszy na fakt, iż wydarzenia nierzadko następują w niej bardzo dynamicznie, aktorzy nieraz improwizują, wiele elementów ma charakter spontaniczny. Mam jednak nadzieję, że zachęci to jedynie tych, którzy sztuki nie widzieli, do obejrzenia jej, gdy tylko będą mieli ku temu sposobność. *mz*

PERWERSYJNA FINEZJA

Finałowy dzień festiwalu rozpoczął się od razu mocnym uderzeniem. I nie chodzi tu bynajmniej o dosłowne uderzenie muzyczne, jakich doznawaliśmy przez cały okres trwania festiwalu. Nie tym razem. Bowiem w ostatnim dniu Mózgowego przedsięwzięcia jego bogaty repertuar, prócz odsłon muzycznych i wizualnych poszerzył się o teatralną. I to odsłonę teatralną najwyższej próby. A chodzi mianowicie o najnowszą sztukę Bogusława Schaeffera, który obchodzi właśnie sześćdziesięciolecie pracy twórczej. „Multimedialne coś” – bo taki właśnie tytuł nosi rzeczony spektakl – jest przedstawieniem swoistej walki z własnymi emocjami, próbą zapanowania nad nimi przez troje bohaterów dramatu, bohaterów śmiesznych, momentami żalonych, rozczułających swą fantazją i zagubieniem w rzeczywistości. Na scenie pojawia się sam mistrz, który zasiada do fortepianu i osnuwa całą akcję muzyką. I wbrew pozorom powinien być tu najważniejszy – oto bowiem ma być świętowany jego benefis – jednak aktorzy zdają się albo go nie zauważać w ferworze sporów, prób wybicia się, zwrócenia na siebie uwagi, albo nie traktować go z należnym mu szacunkiem. Skupiają się na sobie, próbują dać wykład na temat spraw, o których, jak się okazuje, nie mają pojęcia – takich jak kultura, sztuka, muzyka. Kultura kojarzy im się li tylko z tą osobistą, której za przykład podają grzecznościowe „dzień dobry”, gdy pragnie się kogoś powitać. Dwójka aktorów (znakomity, pełen ekspresji i dający popis swych umiejętności Waldemar Obłoz, oraz równie przebojowy acz zdawałoby się bardziej stonowany w swej roli Marek Frąckowiak) próbuje w chaotycznym, przeżabnym dialogu uszczknąć jak najwięcej uwagi publiczności tylko dla własnej osoby. Z wyglądu przywołują na myśl



dwa dystygowane na pierwszy rzut oka (fraki i kapelusze), ale również śmieszne (obcisłe legginsy na szelkach) świerszcze. Przekrzykują się, płasają po scenie i wdają się w otwarty dyskurs z publicznością. Dyskurs najpierw świadomy, będący częścią spektaklu, gdy z publiczności odzywa się kobiecy rozjuszony głos, który próbuje dżentelmenom udowodnić, że zna scenariusz lepiej od nich samych (w tej roli buchająca ekspresją krwistoruda Agnieszka Wielgosz). Potem już następuje noszące znamiona improwizacji wyciąganie osób z publiczności na scenę. Spektakl w pewnym momencie schodzi ze sceny, zaczyna toczyć się wśród rzędów widzów, obok nich, a chwilami nawet poza salą teatru (gdy będący już u kresu wytrzymałości, rozjuszony Obłoz pragnie dopaść denerwującą go i wciąż przerywającą spektakl Wielgosz i puszcza się za nią w pościg na teatralny korytarz). Całość ekspresyjna, świetnie zagrana, z dużą dawką ironii. Chętnie obejrzałabym tę sztukę raz jeszcze i to wkrótce. Dzieło kończy kilkunastominutowe solo Schaeffera, wyciszające, pozostawiające czas na refleksję. Spektakl został nagrodzony gromkimi brawami, które nie ustawały przez kilka minut. I nic dziwnego – mnie samą już ręce bolały od klaskania. A to i tak zdawałoby się zbyt mało, by należycie podziękować aktorom i twórcom za to, czego mogliśmy być świadkami tego wieczoru. Czapki z głów! *jp*



KWARTET ETERYCZNY

Następnym po Teatrze Bogusława Schaefera punktem programu sobotniej odsłony festiwalu był kwartet Tomasza Pawlickiego zatytułowany „Pan Pianino”. W ramach tego koncertu pierwszy na scenie pojawił się Łukasz Górewicz, który przestrzennym i przejmującym dźwiękiem skrzypiec z nałożonym efektem rozpoczął kompozycję. Jako drugi na scenę wszedł basista Patryk Węclawek, który płynnie podjął motyw na gitarze basowej. Po nim pojawił się Qba Janicki, który zasiadł za perkusję i uderzając przywołał wreszcie na scenę Tomka Pawlickiego, który okrążył stojący w środku sceny fortepian, wrzucił doń coś przypominającego woreczek z monetami, po czym zasiadł przed klawiaturą i dosłownie włożył nos w stojące przed nim nuty. Po tym zabiegu delikatnie począł zaznaczać temat podjęty na początku utworu przez skrzypce Górewicza, a gdy natknął się na klawisze obsługujące struny przytłumione wcześniej wspomnianym woreczkiem, rozległ się drobny, lekko brzęczący dźwięk. Kompozycja rozwijała się melancholijnie, jakby jesiennie, momentami narastając dramatycznie, by znów opaść. Na ekranie w głębi sceny rozpoczęła się projekcja czarno-białego filmu zatytułowanego „Herr Klavier”, który muzycy poczęli ilustrować migotliwie akcentując poszczególne zmiany kadrów. Gdy na ekranie pojawiła się twarz kobiety z wypisaną na czole liczbą 13 utwór nabrał pewnej nerwowości, rozbiegania, a dźwięki fortepianu dobywane przez Paw-



lickiego przybrały na sile. W pewnym momencie muzycy ucichli, a Pawlicki pozostał sam, chwytając za flet i grając na nim wcześniejszy temat. Trzymając jedną ręką flet, drugą począł delikatnie błdzić po klawiaturze, przechodząc z wolna w akordy grane z przerysowaną zamaszystością, docierając do atonalnego rozbuchania. W tym czasie Węclawek zmienił gitarę basową na kontrabas, natomiast Janicki uderzał w perkusję dość cicho, acz dynamicznie, po czym po ogólnym ściszeniu zaczął korzystać z szeleszczących dobro-

dziejstw „deszczowego patyka”. Pawlicki wstał i zaczął manipulować wewnątrz fortepianu, po czym powrócił do klawiszy i zamaszystego traktowania wysokich tonacji, przechodząc powoli w ciszę. Janicki stanął przy wibrafonie kontynuując utwór, a Pawlicki zaczął sprawiać wrażenie, jak gdyby borykał się z wewnętrznym kryzysem twórczym, który przeszedł w zadumę. Ponownie chwycił za flet i kompozycja wkroczyła w nieco większą dynamikę, który to etap został zwieńczony pewnym pulsem wibrafonu Janickiego przeradzając się wreszcie niemal w ciszę przerywaną jedynie dźwiękiem kojarzącym się z nakręcaniem budzika. Pawlicki usiadł tyłem do klawiszy, jakby tocząc z fortepianem cichy spór. Pojawiły się dziwne odgłosy generowane za pośrednictwem laptopa, a muzycy poczęli układać dźwięki najpierw szczątkowo, po chwili narastając i układając wspólnie pewną rytmiczną ciągłość, rozchodzącą w poszukiwania. Wtem Pawlicki nieoczekiwanie zszedł za kuliszy, po nim Janicki i Węclawek, a na scenie ponownie pozostał sam Górewicz zamykając kompozycję tym samym, co na początku, przestrzennym tematem, jednocześnie zagęszczając pociągnięcia smyczka i drżąc, subtelnie niknąc. Koncert ten pozostawił we mnie wrażenie spójnej, zamkniętej całości, przywodzącej na myśl szklaną kulę z mieniącymi się wewnątrz niej różnymi różnobarwnymi kształtami. **mz**

OBRAZY DŹWIĘKÓW, RYTMY WIZUALIZACJI

Występ kwartetu Pawlicki/Węclawek/Janicki/Górewicz rozpoczął się od melancholijnych dźwięków skrzypiec, obsługiwanych przez tego ostatniego. Po kilku chwilach dołączył do niego Patryk Węclawek na gitarze basowej (ale mieliśmy również okazję usłyszeć w jego wykonaniu kontrabasowe ewolucje), Qba Janicki na perkusji i wibrafonie, a na końcu pojawił się „Pan Pianino”, czyli Tomasz Pawlicki. Już po chwili czwórka artystów zabrała nas w magiczną podróż dźwiękowych odczuwań, okraszonych znaczącym, przynajmniej dla mnie, dynamicznym obrazem rozgrywanym się w tle. Widzieliśmy niemy, czarno-biały film o znamienym tytule „Herr Klavier”, któremu muzycy zdawali się akompaniować. I robili to z takim powodzeniem, iż występ stał się niezwykle zharmonizowanym doznaniem wizualno-dźwiękowym. Janicki obserwując akcję toczącą się z projektora, w punkt akcentował wydarzenia akurat dziejące się na filmie. Improwizacje w wykonaniu tej czwórki bardzo intensywnie zadziały na moją wyobraźnię. Połączenie obrazu i dźwięku wprowadziło mnie w moją ulubioną synestezijną atmosferę. Na uwagę zasługują również ciekawe eksperymenty pianistyczne Pawlickiego, a także niezwykle i niezaprzeczalny talent Janickiego do znakomitego operowania perkusjonaliami. Jak już wspomni-

nałam muzycy zabrali nas w zmysłową podróż i przyznać muszę, że po zakończeniu festiwalu, pełna najrozmaitszych wrażeń, doznań, przeżyć i refleksji czuję się, jakbym w ciągu tych czterech dni odbyła tych podróży niezliczoną ilość. Każdemu życzę takiego muzycznego, i nie tylko, eksplorowania świata. **jp**

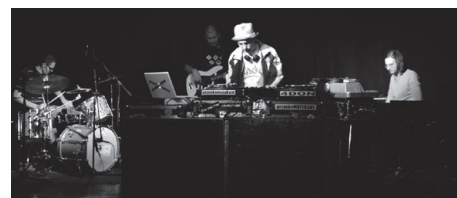




TEMPO DRAPIEŻNEJ POWAGI

Ostatnim koncertem festiwalu, który obył się na deskach Teatru Polskiego (bo nie ostatnim w ogóle, gdyż w Mózgu wystąpiła jeszcze grupa The Cyclist) był występ tria Alexander von Schlippenbach (fortepian), Evan Parker (saksofon) i Paul Lovens (perkusja). Trzej panowie ledwie weszli na scenę, od razu wspólnie, jak na komendę (co w sumie nie powinno dziwić, gdyż zaczęli grać razem blisko 40 lat temu (!) – w roku 1970) rozpoczęli koncert i szybko uzyskali zasadniczo natężony poziom dynamiki. Schlippenbach uderzane szybko akordy akcentował poruszając ustami, Parker wydobywał z saksofonu tenorowego wędrujące serie dźwięków, natomiast dobrze rozkręcony Lovens, prezentujący starą i wiecznie wzbudzącą podziw szkołę perkusyjną, gwałtownymi strzałami okraszał narastającą improwizację, poświęcając specyficzną uwagę talerzom. W pewnym momencie Parker wycofał się zupełnie, a za nim ściszył Lovens, pozostawiając Schlippenbacha na solo. Jednak po chwili saksofon podjął znowu dialog z fortepianem przy stonowanej asyście perkusji. Kompozycja weszła w stopień dźwiękowej oszczędności i cichego akcentowania, po czym zaczęła znów przybierać na sile, naładowana wirującym stylem Lovensa i atakami saksofonu, to z górnych, to z dolnych rejestrów. Schlippenbach w pewnym momencie na chwilę odpuścił, pozostawiając Parkera i Lovensa przekomarzających się, by potem wrócić i sprowadzić kompozycję niemal do ciszy. Improwizacja przeobraziła się w powolne dźwiękowe strzępy, a gdy Schlippenbach pozostał na jednym basowym klawiszu, Parker wykonał przeszywające, jaskrawe solo na saksofonie, po czym trio ponownie scaliło się w gonitwie. Po kolei wyłączyli się Parker i Schlippenbach i zosta-

wili Lovensa na solo, pod koniec którego powrócił fortepian, a po zejściu perkusyjnej dynamiki również i saksofon, kładąc pociągłe frazy na tle rozdygotanych fortepianowych akordów. W improwizację wkradła się pewna tajemniczość i zaduma, podczas której Parker zmienił saksofon na sopranowy i z wolna, opatrząc jasnym komentarzem porywy kolegów, wyprowadził się na spazmatyczne solo złożone z głośno pędzących dźwięków, przecinanych ostrymi przegłosami. Publiczność nagrodziła saksofonistę gromkimi brawami, po których goniąc włączył się Schlippenbach, a następnie Lovens na talerzach, obręczach i małym gongu, aż do mocnego uderzenia w bębny, napędzając towarzyszy coraz mocniej aż do nagłego łagodnego zawinięcia kończącego utwór. Muzycy stanęli na środku sceny, spojrzeli na rozentuzjasmowaną, bijącą brawo publiczność i powrócili na swoje miejsca. Drugi utwór rozpoczął Schlippenbach, kilkakrotnie uderzając dużą pałką w basowe struny fortepianu, dobywając z nich niemalże grzmot. Na tym tle pojawiły się saksofonowe smugi, a po chwili akcenty talerzy, przeradzające się w metaliczne perkusyjne płaszczyzny zachodzące na siebie. Po chwili improwizacja mocno się zdynamizowała i wyprowadziła Schlippenbacha na rozpędzone solo, po którym wartko powrócił najpierw Lovens, a zaraz po tym Parker i nastąpiła ostra, drapieżna sekwencja zakończona lekkim i nieoczekiwanym zakończeniem wszystkich trzech muzyków. Gdy panowie zeszli ze sceny, publiczność nie dawała za wygraną, głośnym aplauzem domagając się bису, na co ku jej ucieście trio powróciło i zagrało skondensowany, energiczny utwór bez partii solowych, ale zawierający w sobie całą esencję tego świetnego koncertu. **mz**



CYKLIŚCI DOWIEŻLI NAS DO METY

Po tym wszystkim, co działo się tego dnia i podczas poprzednich trzech na deskach teatru bydgoskiego i nie tylko, wszyscy zasłużyliśmy na porządną imprezę w ścianach klubu Mózg. A o to z dużym powodzeniem zadbała grupa The Cyclist, przy której muzyce bawić się mogliśmy sobotnio-niedzielnej nocy. Beato-wo-jazzujące improwizacje, czasem z hiphopowym, czasem smoothjazzowym czy nawet yassowym zacięciem, już po kilku chwilach zaczęły ruszać ciałami publiczności. Taneczne, momentami melancholijne dźwięki perkusji Jacka Buhla, basu Wojtka Woźniaka i klawiszy Daniela Mackiewicza, były suto doprawione scratchami i samplami dj Grzanko Muzykanta, który skupiony na wydobywaniu ze swych machin magicznych dźwięków, w pewnym momencie, ku zaskoczeniu wszystkich, zagrawszy parę dźwięków na gitarze, obudził w sobie rock'n'rollowe zwierzę i roztrzaskał instrument o deski sceny. Jakkolwiek uważam takie poczynania za bardzo efektowne, tak za każdym razem, gdy coś takiego widzę, płakać mi się chce, że kolejny instrument przeszedł na tamten świat... Mogliśmy słyszeć zharmonizowaną kompozycję elektroniki i muzyki na żywo. Pobudzające, odświeżające, porywające do tańca dźwięki sprawiające, iż nie można było utrzymać swego ciała w bezruchu, z czasem przechodziły w bardziej stonowane, downtempowe melodie. Po blisko godzinie i gromkich oklaskach dla muzyków, na scenie pozostał tylko dj Grzanko Muzykant z całym oprzyrządowaniem i rozpoczęła się klubowa, taneczna impreza, będąca świetnym uzupełnieniem i jednocześnie zakończeniem tego spektakularnego i dostarczającego ogromu najróżniejszych wrażeń festiwalu. **jp**